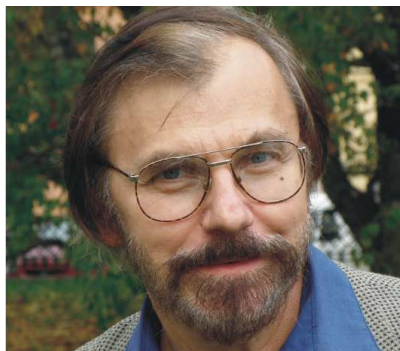


Listy do Pani A. (98)



Uśmiechy i smutki

Droga i Miła Pani!

Ciekaw jestem, jak Pani spędzała lato, chociaż... Jak zwykle odnosiłem wrażenie, że niekiedy naszep ścieżki się przecinały. Np. w Krakowie. Jest to prawdopodobne, bo część rodziny Pani jest z tym miastem związana.

W Krakowie nie byłem od lat, nie licząc jednodniowego pobytu na pogrzebie Juliana Kawalca. Wtedy zdążyłem, wraz z Magdą Węgrzynowicz-Plichtą, zrobić niewielką rundkę po Rynku, i trzeba było już biec na dworzec. Teraz byłem całe dwa dni, a to już jest coś. I tak wchłaniałem w siebie Kraków, włóczyłem się staromiejskimi ulicami, poszedłem na Kazimierz, na Wawel, przespacerowałem się nastrojową Bracką, Kanoniczną, posiedziałem na Rynku... Piękny jest stary Kraków, natomiast poza jego obrębem są straszne estakady, przejścia podziemne, dalej osiedla typowe dla wszystkich, nie tylko polskich miast. I okropny szkielec jakiegoś wieżowca. Zupełnie jakby pojawił się żywecem z jakiegoś horroru.

Na ulicach, na Rynku, tłumy turystów. Bezwładne, łączące niezbornie, a co gorzej oblepiającej pomniki. Nie tylko schodki i cokoły, ale i same posągi. Każdy z filistrów musi sobie zrobić zdjęcie lub „selfi” z Mickiewiczem. Wdrapują się tak wysoko, jak tylko można. Jakoś nikt nie spadł. Na miejscu Mickiewicza energicznie bym się otrząsnął... Czekalem na to, ale jakoś Adam jest bardziej cierpliwy ode mnie.

Przed odjazdem pochodziłem po galerii handlowej, w którą zamienił się dworzec, z sentymentem patrzyłem na dawny budynek stacyjny, nieczynne już perony, stary tunel pod torami przy (jeszcze czynnej) ulicy Lubicz.

Rychły przyjazd Franciszka podgrzewał atmosferę. Już można było spotykać grupy młodzieży, niektóre rozśpiewane, oczekujące uroczystości. Kraków zresztą, odkąd pamiętam, miał, przynajmniej w okresie wakacyjnym, coś z nastrojów festynowych. Bardzo lubię to miasto właśnie w letnim sezonie.

Już po powrocie oglądałem fragmenty wizyty Franciszka. Wprawdzie nie była to wizyta na szczeblu państwowym, ale odniosłem wrażenie, że relacjonowano ją bardzo skromnie. Sam Papier jest bardzo skromny, ale jednak to – bądź co bądź – osobistość i głowa państwa. Tylko może głowa niezbyt „poprawna politycznie” z punktu widzenia naszych duszpastuchów. Komu może podo-

bać się nawoływanie do ascezy, umiarkowania w gromadzeniu skarbów, prostoty czy tolerancji, zwłaszcza obyczajowej. Ale największą obrazą było – jak mniemam – nawoływanie do ubóstwa. Bo przecież to kasa głodzi grzechy świata... Mam nadzieję, że Pani też to widzi i zgadza się ze mną.

Potem miałem przerwę w wirtualnych kontaktach. Padł mi komputer. Trochę to trwało, zanim dostałem inny, sprawny i dużo szybszy. Teraz z powrotem obserwuję, co się dzieje w sieci, traktując to najczęściej jako zabawę. Śmieszą mnie ludziki, które wstawiają dosłownie wszystko: co jedli, gdzie byli, z kim się całowali, na co chorują. Niedługo pewnie pojawią się zdjęcia skutków rozstroju żołądka. Dziwna mentalność, totalne zglupienie. A uganianie się za pokemonami? Zakrawa to na psychiatryczne przypadłości, które kwalifikują do oddziałów zamkniętych.

W ogóle następuje chyba epoka kretynizmu. Kilka razy czytałem o amerykańskich szczęśliwych tatusiach, którzy upieklili swoje dzieciątka w zaparkowanych na słońcu i zamkniętych samochodach. Już nie mówię o podobnych losach psów. U nas zaczyna dziać się podobnie.

Muszę opisać przy tej okazji scenkę, której byłem świadkiem w jednym z salonów Orange. Oto w salonie pusto, siedzi tylko jeden pracownik. Podchodzi do niego klient:

– Dzień dobry, czy można u pana zamówić kartę SIM?

– Dzień dobry, nie mogę pana obsłużyć. Musi pan najpierw wziąć numerek.

Cały salon pusty, ani jednej osoby. Klient-samotnik pobiera numerek i wraca do obsługującego.

– Mam numerki! – oznajmia z radością.

– W czym mogę panu pomóc.

– Chcę zamienić kartę SIM na nanoSIM.

– Ma pan abonament u nas?

– Tak.

– A telefon zmieniał pan na któryś z naszej oferty, czy we własnym zakresie?

– We własnym zakresie.

– W takim razie zamiana karty SIM na nanoSIM będzie kosztowała 25 zł. Mamy bogatą ofertę akcesoriów do telefonów. Jeśli kupi pan produkt za minimum 25 zł, zamianę karty SIM na nanoSIM ma pan za darmo.

– Dobrze. Czy mają państwo etui do telefonów?

– Mamy. Oryginalne czy nieoryginalne?

– Nieoryginalne.

– Nieoryginalnych nie ma, są tylko oryginalne.

– W jakiej cenie?

– 140 zł.

Może to rzeczywiście proces jakiejś galopującej „amerykanizacji”? Zawsze byłem przekonany o nieprzesadnych walorach intelektualnych tamtejszych mas. Zresztą, jak się okazuje, nie tylko.

A tu już zaczyna się rok szkolny. Młodszy syn Pani idzie już do liceum, podobnie jak moja Joasia. Znowu szkoła, podręczniki, problemy z nauczycielami, choć tych jeszcze ich nie znamy, ale belfry bywają różne, co zresztą niegdyś i my odczuwaliśmy na własnej skórze.

Jednak z oddali wygląda to inaczej. Kilka dni temu zadzwoniło do mnie dwóch kolegów z klasy. Jeden mieszka w USA, drugi „po luzdzu” w Warszawie. Z wielkim sentymentem i wzruszeniem wspominaliśmy tamte czasy, wydawałoby się wczorajsze, a to tak odległe. Potem rzuciłem się do uważnej lektury książki prof. Jana Górskiego, naszego polonisty, „Rzecz o liceum św. Augustyna” (1981). Zdarzenia szkolne, profesorowie, atmosfera

liceum stały mi przed oczami jak żywe. Może wtedy nie doceniało się tych ludzi, którzy z nami i nad nami pracowali, uważało się ich za przedstawicieli opresyjnego systemu szkolnego. Ale z perspektywy lat wyraźnie można dostrzec ich format etyczny, fachowość, miłość do młodzieży, której bynajmniej nie chcieli nękać, ale czegoś nauczyć, uformować charaktery, pokazać hierarchię wartości. Tam do niczego nie zmuszano, do praktyk religijnych także, choć szkoła była katolicka. Nikt tam nie wchodził z butami do sumień uczniów, pokazywano tylko jedną z dróg, którą warto może wybrać – teraz albo później. Była to szkoła świątliwych ludzi, katolickiej inteligencji, a nie – jak to się dziś często zdarza – pokornych, bezmyślnych dewotów.

Szkoła dziś nie istnieje. W hurra katolickim kraju nie przetrwała tak długo, jak mogła egzystować w okresie komuny, ateizacji, szyskan.

Mój smutek spowodowany zalem za minionym bezpowrotnie czasem pogłębił się znacznie wraz z wiadomością o nagłej śmierci Ryszarda Ulickiego. To była taka postać, o której – pisałem podobnie po śmierci Marii Czubaszek – myśli się, że będzie zawsze; że jakoś „uzasadnia” niezniszczalność także naszego istnienia. Wiem, że dla niektórych pozostał postacią kontrowersyjną, dla innych nawet zniechęcającą. Ludzie się jednak zmieniają, nie są stale jednakowi, a jednostki obdarzone nietuzinkową, bogatą osobowością odsłaniają coraz to nowe jej oblicza.

Poznałem Ryśka na terenie Związku. Był obdarzony niezwykłym poczuciem humoru, pogodą ducha. Serdeczny i przyjacielski. Podziwiałem jego talent parodystyczny, aktorski, lubił się wcielać w różne kreowane przez siebie postacie, zwłaszcza kiedy odbierał telefony, albo sam dzwonił do przyjaciół, co dawało komiczny efekt. Nie było w nim złości, zawiści, emanowała zeń wyrozumiałość, życzliwość, koleżeństwo, po prostu ludzka dobroć. Takiego ja przynajmniej znałem, ale i wielu kolegów z ZLP bardzo go lubiło, obdarzało przyjaźnią i poważało.

Zawsze wzruszały mnie jego „Kolorowe jarmarki”. Powiedziałem mu kiedyś, nawiązując do jednego z wersów tej piosenki, że jeśli się ma „baloniki na druciku”, to natychmiast należy się udać do lekarza. Śmialiśmy się obaj do rozpuku.

Ryszard, jako członek Prezydium ZLP, brał udział w jego posiedzeniach, na których odczytywałem protokoły z obrad Komisji Kwalifikacyjnej. Niekiedy miał jakieś zastrzeżenia, kiedy odnosił wrażenie, że z tym czy owym delikwentem Komisja obeszła się zbyt ostro. Ale nie kłócił się, dawał się przekonać. Sam świetny poeta, miał serce otwarte dla wszystkich, nawet najsłabszych.

A nawet beczelnie roszczeniowych. Teraz autorzy byle wierszyczków domagają się publikacji. Już! Natychmiast! Tymczasem czytając pamiętnik Władysława Broniewskiego z lat 1918-1922 natrafiam na takie wyznanie: „Nad moją pisaniną ciąży pewien fatalizm: skoro napiszę coś, zaraz po przeczytaniu zaczynam ostrą krytykę, która każe mi chować je przed ludzkimi oczyma. (wiersze – SJ). Jeżeli bym się zdecydował starać o druk, to tylko takiej rzeczy, która by mi na dłużej wystarczyła”.

I już nie muszę dłużej rozważać kwestii, czym różni się utalentowany poeta od zwykłego grafomana.

Życzę Pani „złotej jesieni” wraz z dużą ilością złota w skarbcu, i pozdrawiam bardzo serdecznie –

Stefan Jurkowski